

## KRONIKA LITERACKA.

---

*Pamiętnik o Adamie hr. Potockim, pułkowniku 11 pułku jazdy Księstwa Warszawskiego, skreślony przez jego córkę Karolinę z Potockich Nakwaską. (Z portretem). W Krakowie. Nakład J. Wildta. Czcionkami drukarni Czasu. 1862 r.*

Mała ta książeczka obejmująca 68 stronnic, jest pełną treści i zajmująca. Autorka, z podania, z własnej pamięci, z papierów po ojcu, kreśli jego życiorys. Łączą się tu zarazem wiadomości o całej rodzinie, które dziwnym zbiegiem rzeczy, budzą w pamięci naszej postać owęj Gertrudy Komorowskiej, którą tak cudnie nam odmalował Antoni Malczeski, w poemacie swoim *Marya*.

Adam Potocki był synem Teodora starosty olsztyńskiego, który odznaczył się w konfederacyi barskiej; ten mając lat 54, ożenił się i wkrótce rozwiódł się z młodą, lat dwadzieścia kilka liczącą małżonką. Druga jego żona była rodzoną siostrą Gertrudy Komorowskiej, która tak nieszczęśliwie skończyła w nurtach Bugu. Uproszony od Potockich, do zagodzenia tego morderstwa, wszedł w stosunki z rodzicami Gertrudy, a że druga ich córka Kordula była piękną, choć już dwadzieścia i ośm lat liczyła, z nią się ożenił, chcąc przez ten związek zatrzeć w części grzech Szczęsnego i zbrodnie dumnych jego rodziców.

Adam, bawiący za granicą, w roku 1794 stanął w kwaterze Kościuszki, bił się walecznie, i otrzymał pierścień z pięknym napisem, jaki wówczas ten dowódzca rozdawał w miejsce krzyżów wojсковych.

Po upadku sprawy krajowej, poślubił Maryą Roztworowską, i zamieszkiwał u ojca swego jako nieletni, bo liczył lat 19 wieku tak jak i jego żona.

Dziad stary Teodor Potocki, wybrał się w podróż do Petersburga: ciekawy jest ustęp, jaki podaje autorka o niej:

„Głęb kraju w owym czasie był dziki, niegodziwe były drogi, i jeszcze gorsze leże. W niektórych miejscach dla roztopów kładziono w poprzek ogromne kłody, aby powozy nie grzęzły. Była to jazda nieznośna i niezmiernie utrudzająca. Przyjechawszy na nocleg, miano tylko brudną karczmę, w której nie było innych sprzętów, jak te co z sobą się przywoziło. Kilku kozaków i hajduków wypędzało karczmarzy z ich izdeb: marszałek dworu kazał zawieszać makaty po ścianach, napełniać worki sianem, rozpakować tłomoki z kotarami, poduszkami, kołdrami i t. p. Służący rozstawiali srebrne naczynia gotowalni; kuchmistrz piekł i warzył to co miał, i tak po kilkogodzinnym mozole, przeistoczona karczma, przybierała porządniejszą postać.

I tu jak cień złowrogi, przypomniła się postać nieszczęśliwej Gertrudy Komorowskiej.

W jednym miasteczku głębokiej Moskwy, podczas popasu, przyszedł stary szlachcic w kapocie, prosząc służących o przypuszczenie go do pana wojewody, gdyż jest dawnym dworzaninem Potockich; gdy mu wejść dozwolono, upadając do nóg starym zwyczajem, pochwalił się, że jest jednym z tych, którzy z rozkazu wojewody kijowskiego, porwali Gertrudę: stary wojewoda, oburzony tą bezczelnością nikczemnika, co się ze swój zbrodni chlubił, z groźną postacią kazał wygnąć szlachcica, gdy żona jego, a siostra nieszczęśliwej ofiary zemdłała.

Adam Potocki trafił właśnie na chwilę, kiedy dawny jego naczelnik uwolnionym został z więzienia; przybył ze swą małżonką złożyć mu hołd należny, który ich przyjął i błogosławił, jakkolwiek był mocno cierpiącym i osłabionym.

Powróciwszy na Podole, mieszkali razem w Sawincach u wojewody; był tam dwór ogromny z ogromnemi zabudowaniami, nawet teatrem, lecz rzecz dziwna, bez piętrowości i drewniany. „Czyto dla częstych napadów Turków i Tatarów, czy dla braku zamiłowania w budowlach (pisze autorka), wielcy nawet panowie, nie dbali o wytworne mieszkanie. Dziad mój, kilka młast i kilkadziesiąt wsi posiadający, nigdzie nie zostawił murowanego domu; było jednak u niego dworno i wspaniale, słynął z dobrego przyjęcia i hojnie podejmował gości.”

Wojewoda trzymał gwardyę kozaków z zatamanem, miał kilkunastu muzykantów, marszałka dworu, dwanaście haftarek dla

pani wojewodziniej, panien na *respekcie*, rezydentów, *alias trefniśców* i innej służby co niemiarą.

W tych czasach Podole, Wołyń i Ukraina, przepełnione były emigrantami francuskimi. Na Wołyń schronił się książę Kondusz i wielu oficerów z jego wojska; każdy prawie pan polski miał ich kilku u siebie: w Tulczynie gościła później przez lat wiele rodzina Poligniaków.

Zajmującą scenę opisuje nam autorka:

„Do Sawiniec przyjechali raz Poligniacy, to jest Juliusz, Melchior i Armand. Jeden z nich był ożeniony z bardzo ładną Francuzką, imieniem Idalia, płochą i trochę rostrzepaną. Aby się zabawić i spróbować do jakiego stopnia dojdzie jej próżność, oznajmiły jej nasze panie, że poselstwo tureckie, w swym przejeździe do Wiednia, ma nocować w Sawincach, i że z tego powodu będzie liczne zgromadzenie gości. Młoda hrabina nigdy Turków nie widziała i z niezmierną ciekawością oczekiwała ich przybycia. Po obiedzie wytoczono z wozowni najstarszą karetę, założono do niej sześć koni, starego dworzanina przebrano po turecku wszale i zawoje, przylepiwszy mu ogromną brodę; kilku hajduków i kozaków także przebranych, dodano mu do orszaku, i w taki sposób na dziedziniec zajechał. Gdy wszedł niby stary basza, posadzono go na niskiej sofie i otoczono poduszkami. Podano następnie czarną kawę, lulki, konfitury, słowem odbyło się wszystko na sposób wschodni. On prosił, aby wokoło niego pousiadały, a biorąc hrabinę Poligniak za rękę, obok siebie ją umieścił, pokazując, w jaki sposób Turczynki, nogi na krzyż trzymają. Tłumacz, który niby jego słowa przekładał, pięknej Idalii najprzesadniejsze prawił słodycze, a ona je mile przyjmowała. Ośmielony tą uprzejmością, prosił stary basza, aby raczyła przedstawić mu jaki europejski taniec. Uproszono hrabinę, aby wystąpiła z *szalem*. Taniec ten, rozwijał zgrabność i powaby ciała. Zachwycony nim, udany Turek, rzucił chustkę na Idalię i do swego zaprosił harem; mąż się rozgniewał, hrabina zemdłała: ogromny powstał rozruch, posła odesłano co prędzej, i tak skończył się żart, który mógłby mieć smutne następstwa.”

Adam Potocki, utraciwszy znaczną fortunę po śmierci swjej matki, nie z żadnej własnej winy, otrzymał z łaski babki, kasztelanowej brackawskiej, dobra *Kruszynę* w województwie sieradzkim. Majętność ta, za czasów Sobieskiego, przez tego króla zamieszkaną była. Znajdował się w niej zamek o kilku dziedzińcach, z pysznym ogrodem, ulicami z cedrów, cyprysów i innych drzew nie-

botycznych; były w komnatach piękne obrazy historyczne, mianowicie jeden ogromny, wystawiający Władysława IV: znajdował się też tam skarbiec, a w nim bogate zbroje, laski marszałkowskie, naczynia szklane z herbami, niektóre z godłem Potockich: wszystkie te historyczne pamiątki złożył nowy dziedzic w świątyni Sybilli w Puławach.

Po rozbiórce kraju, z rozkazu króla pruskiego, który rozwinął do razu plan zgermanizowania tej części Polski, jaki zagarnął łupem, musiał Adam Potocki sprzedać ten majątek Niemcowi hr. *Schönau* za 36,000 dukatów, za które od ojca swego nabył dobra Horodenka i Bilcze w Galicyi. Dobra te wojewoda, jako po stryju, odziedziczył po Mikołaju Potockim, znanym u nas pod imieniem *Starosty Kaniowskiego*, który w podaniach ludu i szlachty naszej imię swoje uwiecznił, a w niejednej powieści i poemacie stanowi główną postać. Autorka wspomina, że mogłaby obszerniej się o tym staroście rozpisać, ale uważa ten przedmiot już za wyczerpany. My sądzimy przeciwnie; właśnie, jako spokrewniona z nim, jako wiadoma wszystkich podań, i to więcej prawdziwych bo rodzinnych, od osób co go zbliska znały, dałaby nam obraz starosty Kaniowskiego dokładniejszy, niż dotąd z głuchych wieści malowany.

Myli się autorka, upatrując w ludzie wiejskim Pokucia, rysy rzymskie, jako potomków starój Romy. Lud to dorodny, ale czysto słowiański; mowa jego czysto-ruska, narzecze polskiego języka: od wieków w tej żyznej ziemi osiadły, nie wędrowny, ani przybyły za łupem zdobywcy. Ani rysami twarzy, ani charakterem, ani językiem, zwyczajami i obyczajami, nic cudzego w sobie niema. Autorka pisze ze szlachetnym oburzeniem, że będąc w r. 1841 na Pokuciu, w *Bilczu*, które w części do niej należało, starała się dowiedzieć w jakim stanie jest oświecenie ludności wiejskiej: „Ze zgrozą dostrzegłam, że nie tylko żadnej niema szkoły w całej okolicy, ale że nawet nauki chrześcijańskiej nie otrzymuje od miejscowego parocha: nigdy nie słyszą słowa Bożego, ani pacierza, ani nawet przeżegnać się dzieci nie umieją!”

Słuszna skarga, ależ czy wina tego opuszczenia ludu, na samego parocha ma spadać: czyż nie dotyka zarówno, a może i więcej samego dziedzica, który tak oświatą, jak zamożnością miał wszystkie środki, nie tylko do oświaty ludu, ale i obojętnego w tym względzie plebana, na konieczną potrzebę umoralnienia swoich owieczek, uwagę zwrócić?

Adam Potocki przybywa do opustoszałej już z gwaru dawnego Warszawy, która przestała być stolicą wielkiej Rzeczypospo-

litój, a została jedynie, po zajęciu przez Prusaków, miasteczkiem prowincjonalnym.

„Były to tak zwane pruskie czasy (pisze autorka), kiedy dobry byt zawitał do téj części kraju, a za nim niestety, przepych, hulanki i pijatyki! Sprawiedliwość mi nakazuje zrobić uwagę, iż ci uczestnicy hulanki i nieporządku, gdy przyszedł czas stać się użytecznymi krajowi, zostali hartownymi żołnierzami i odznaczeni się w bojach żelaznym męstwem: tak to okoliczności rządzą ludźmi”.

„Przed kilką laty z rozbitków dawnego wojska, utworzyły się we Włoszech legiony. Wspomnę tu o zdarzeniu ówczesnym, które miało wpływ na jednego z ludzi, później odznaczających się w dziejach krajowych. Matka moja miała przy sobie młodą siostrę swoją, Anielę Roztworowską; do niej przybrała pannę Karolinę Hauke za nauczycielkę: była to córka szanownego profesora trzymającego w Warszawie pensyą młodych chłopców. Niestety chciał, że dwóch z téjże uczniów, braci Radzickich, utonął kąpiąc się w Wiśle; ten przypadek aczkolwiek nie zwiny Haukiego zdarzony, tak przeraził rodziców innych dzieci, że synów poodbierali: Hauke sam też stracił ochotę utrzymywania naukowego zakładu, co przywiodło tę rodzinę do chwilowego niedostatku. Maurycy, starszy syn, aby ulżyć rodzicom, umyślił próbować szczęścia w wojskowości. Opowiedziała to siostra jego méj ciotce, ubolewając, że nie jest w stanie dopomóc bratu w udaniu się do legionów. Posłyszawszy to mój ojciec, odliczył 60 dukatów i dał je Maurycemu: był to pierwszy szczebel do późniejszego wywyższenia tegoż”

W przypisku dodaje autorka: „Maurycy Hauke, później generał, minister wojny, hrabia, wojewoda, obdarzony tysiącami łaskami monarchy, dawał natenczas, naukę pisania razem méj ciotce Anieli Roztworowskiej, i w owych czasach tak zwanéj Zannecce czyli Joannie Grudzieńskiej, później księżnie łowickiej. Co za dziwne losów koleje!”

Za powrotem do Galicyi, gdy Adamowi Potockiemu drugi syn się urodził, przysłano mu na obrzęd chrztu komisarza cyrkularnego, aby jak rząd austriacki domyślał się, nie dał nowo narodzonemu imienia Napoleona! Potocki żartując sobie z téj podejrziwości nazwał niemowlę Juliuszem Cezarem.

Kiedy w r. 1809 weszły pułki wojsk Księstwa Warszawskiego, Adam Potocki uformował pułk jazdy, który w armii nosił nazwę *jedenastego*.

W pochodzie ze Lwowa przybył z tym pułkiem i rodziną swoją do *Krystynopola*, dawnego dziedzictwa Potockich, który przeszedł w ręce Adama Starzeńskiego. I tu złowrogie wspomnienie bohaterki poematu Malczeskiego, obudza się w pamięci autorki:

„W zamku starym, smutnym, otoczonym niebotycznymi świerkami, ze spustoszoną odwachem dla kozaków, którzy tu niegdyś wartę trzymali wojewody kijowskiego, przedstawiał nader przykry widok. Żeśmy byli nieproszonymi gośćmi i w tak znacznej liczbie, nie chciał nam burgrabia otworzyć świeżo odnowionych pokoi, a późniejsza żona Alexandra Starzyńskiego, spała pokotem z całą rodziną w dużej i obdartej sali. Oficerów poumieszczano w bocznych budynkach, jeszcze w gorszym stanie zostających. Ale co młodym szkodzi złe pomieszkowanie podczas lata w nadziei chwały, jaką marzyli i w obec romantycznych zdarzeń, jakimi się im głowy pozawracały? Była bowiem gadka między ludem, że Gertruda Komorowska, gdzieś zamknięta jęczy pod sklepieniami zamku. Szukali jej więc zapaleni młodzieńcy lecz nie znaleźli, gdyż ona, jak wiadomo, utopioną została w Bugu, przez służalców wojewody kijowskiego. Oby poświęcenie imiennika, który na tymże miejscu doznał wszelkiego rodzaju udurzeń umysłu, zmyło choć w części zbrodnie winowajcy!”

Żałować potrzeba, że autorka w skreśleniu obrazu towarzysztwa, w owe czasy warszawskiego, tak jest skąpą, że tylko dotknęła kilku słabymi szkicami, odwołując się na pisarzy ówczesnych pamiętników, których bardzo szczupłą posiadamy liczbę.

Wybuchła wojna 1812 roku. Pułk Adama Potockiego, jedenasty jazdy, pod Mirem spotkał nieprzyjaciela i dzielnie się sprawił. W rozkazie dziennym pisanym do głównego sztabu, tak się książę Józef Poniatowski wyraził:

*„Les soldats du 11me des lanciers se sont battus comme des lions, les officiers, comme des héros”.*

Nieszczęściem z winy generała dowodzącego, poniósł tam pułk straty ogromne. Trzysta żołnierzy poległo, dwóch oficerów poległo, czterech ranionych, a Drohojowski pokrewny autorki, wziętym został. Po długiej niewoli wrócił do Galicji; za całą korzyść przyniósł z sobą nasienie sławnych melonów astrachańskich, które w tej części Polski rozplemił, i z kąd się na cały kraj rozeszły.

Potocki pod Możajskiem ranny, złożył dowództwo i powieszonym został do Moskwy. Był wśród strasznego pożaru tej stolicy, i widział sceny dreszczem przejmujące.

Z oddziałem rannych, szczęśliwie dostał się do Warszawy; krzyż Legii honorowej jaśniał mu na piersi.

Oprócz rany, ciężka niemoc powaliła go na łożo. Przyszła wieść o zgonie jego ojca: wojewoda bełzki w 92 roku zakończył swój żywot d. 10 sierpnia 1812 roku. Wieści z pola bitew coraz smutniejsze nadchodziły. Przyszła straszna Lęska pod Berezyną: szczegóły jej, które kazał sobie opowiadać prawie go dobiły. Wywiązała się zgniła gorączka, a z nią i maligna. Po kilku dniach męczarni, zakończył życie d. 25 grudnia 1812 r. W chwili jego zgonu, przyszedł niewiedząc o śmierci swego przyjaciela J. U. Niemcewicz.

Na pogrzebie Adama Potockiego miał mowę Stanisław Potocki. Przy żałobnym obchodzie, na katafalku obok *Legii honorowej*, dodano krzyż wojskowy *virtuti militari*, na który patent po śmierci Adama doszedł do Warszawy. Zwłoki jego spoczywają w sklepieniu grobowym księży Kapucynów w Warszawie. Dotąd żadnego pomnika nie ma, któryby wskazywał miejsce gdzie zwłoki złożono.

Po wyprawie 1812 roku, pułk Potockiego przeszedł pod dowództwo Alexandra Oborskiego. Ze szczątków jego powracających z tej kampanii, przeszło 200 ludzi wynoszących i z ochotników utworzono dwa szwadrony, w ogóle 400 jazdy. Po bitwie pod Bautzen, pułk ten jedenasty wcielonym został do pułku trzeciego jazdy, pod dowództwem Oborskiego. W kampanii saskiej 1813 r. odznaczył się w wielu bitwach: pod Lipskiem, w owej walce *olbrzymów*, jak nazywają ją historycy, d. 18 października, czternaście szarż wykonał i sześć armat zdobył.

Dodajmy, że w kilkadziesiąt lat później po utworzeniu pułku przez Adama Potockiego, wielu oficerów, a pierwszych towarzyszy broni, zgasłego wojownika, świetnie się odznaczyło na polu sławy.

K. Wł. W.

---

*Księża kanonika Szmidta 90 powiastek dla dzieci, spolszczonych przez Jana Chęcińskiego z 8 rycinami. W Warszawie, nakładem G. Gebethnera i R. Wolffa 1863. W 12ce-str. 250. Wytłoczono w Krakowie u Ż. J. Wywiatkowskiego.*

Znane są u nas oddawna w przekładach prace tego autora, poświęcone kształceniu młodego pokolenia. Przybywa nowa w tłuma-



czeniu Jana Chęcińskiego. Dobrze na tytule wyrażono, że spolszczone, bo w czytaniu nie znać najmniejszego śladu, że to przekład z obcego języka: zdają się być oryginalne. Jasność stylu, prostota, czystość języka zalecają tę książkę, prócz starannego i pięknego wydania. Każda powiastka kończy się wierszykami, które lepiej jeszcze myśl jej moralną wdrożą w pamięci dziatwy. Na czele czytamy taki wstęp tłumacza:

### Do dzieci.

Hejże dziatwo! chcesz książeczkę?  
Oto nowa, spojrzysz z łaski;  
Na jej kartach powiasteczki,  
I wierszyki i obrazki.  
A w powiastkach różne rzeczy,  
I moralne i ciekawe:  
Każda z innej wady leczy,  
Niosąc korzyść i zabawę.  
Każda piękne myśli budzi,  
W każdej uczy prawdę szczerą,  
Jak się kocha Boga, ludzi,  
Czci rodziców, biednych wspiera;  
Jak pocziwim być potrzeba,  
Jak złym dzieciom źle na ziemi,  
Jak się zawsze Stwórca z nieba,  
Opiekuje posłusznymi.  
Więc z książeczką siądźmy w rzędzie,  
Spamiętajmy zbawcze słówka,  
Po czytaniu, codzień będzie  
Lepsze serce, mędrsza główka;  
To nietrudne, pójdzie łatwo,  
Niech was praca nie ustrasza:  
Oh! pamiętaj droga dziatwo,  
Że w nauce, przyszłość wasza!

W tej przemowie mamy całą treść tej pełnej wartości książeczki w ozdobnym wydaniu. Nakładcy drukowali ją w Krakowie, głównie dla pięknego papieru, którego u nas brak wielki, pomimo kilku krajowych papierni; wyrób ich wszakże jest tak niedbały, że z wydaniem ozdobnym, wydawcy muszą uciekać się albo do Krakowa, albo do Lipska, lub innych miast zagranicznych.

W.



*Obrazki z życia świętobliwych i bogobojnych Polaków [i Polek, przez Józefę Smigielską i Alexandrę z Chomętowskiich Borkowską. (Serya pierwsza). Wydanie drugie, przejrane, pomnożone i 8 rycinami ozdobione. Warszawa. Nakładem G. Gebethnera i R. Wolffa 1863 r. Kraków. Wytłoczono u Ż. J. Wywiatkowskiego 1863 r., w 12ce, str. 352. (Dwie części razem).*

Całe dziełko dzieli się na dwie części: pierwsza obejmuje świętych i błogosławionych, zaczawszy od św. Wojciecha; druga bogobojnych. Autorki wzięły za godło ten ustęp z prac Seweryny z Żochowskich Prusaków.

„Patrząc na te potężne filary naszego kościoła, co wyrosły z ziemi, a nieba dobiegły wierzchołkiem, jakże człowiek czuje się małym i słabym, jak ubogim w swoich chęciach, jak szalonym w swoim zrozumeniu.

„O! za mało, za mało ścigamy okiem te nieśmiertelne pochodnie, któreby nam nieustannie przewodniczyć powinny na każdym kroku życia. Za wiele przywiązujemy wagi do bluszczu, co oplata skroń bohaterów ziemi, ścigamy czyny wielkich poetów i uczonych, wielkich wojowników, a wielu z nas zaledwo zna imiona tych synów światłości, którzy wiarą zdobyli niebo, a miłością ogarniają ziemię i święte zsyłają jej natchnienia. Poprawmy się z tej grzesznej obojętności, szukajmy prawdy i na ziemi, bo wszakże Bóg wszędzie rozsiewa jej iskierki, ale przedewszystkiem szukajmy jej w niebie, bo tam płonie nieśmiertelne jej ognisko”.

Pierwsze wydanie prędko rozchwytnie zostało; obecne jest drugie, nakładem G. Gebethnera i R. Wolffa, w starannej i ozdobnej edycji. Ryciny są wykonane podług rysunków W. Gersona. Treść zajmująca, wykład jasny i dobrym językiem oddany, nadając tej książce wartość rzeczywistą. W rodzinnych kółkach naszych dziełko to dla młodzieży nie małego jest użytku, bo bawiąc uczy i podaje zdrowe ziarno moralności na pokarm jej duchowy.

W.

*Ostatnie chwile Joachima Lelewela. Poznań. W komisie u Ludwika Merzbacha. 1861. (Poznań, czcionkami Ludwika Merzbacha, W 8ce. Str. 20).*

Nieobojetną jest zaprawdę wiadomość i szczegóły ostatnich chwil wielkiego historyka, który na kartach dziejów naszych tak znakomite zajmuje stanowisko: podamy tu je w skróceniu.

„Dnia 21 maja 1861 r. nadeszła z Bruxeli do Paryża wiadomość o niebezpiecznej chorobie Lelewela; uwiadomieni o tém doktor Gałęzowski i p. Januszkiewicz pospieszyli do Belgii z zamiarem przewiezienia uczonego dziejopisarza do Paryża, gdzie i lekarzy lepszych i troskliwszą pieczę mógł znaleźć.

Nazajutrz wieczorem, d. 22 maja obaj zacni przyjaciele Lelewela stanęli na jego progu.

Pan Januszkiewicz miał dość wpływu na Lelewela, podjął się więc trudnego zamiaru przeniesienia go do Paryża. Tak opowiadał pierwsze z nim widzenie się.

— Zastaliśmy Joachima wspartego na łożku i dobywającego mozolnie korek z butelki. Obok łożka na piecu od dni kilku stały szczątki ryby morskiej rei i czarka mleka, pożywienie mogące struć najzdrowszego człowieka. Przytém pościel w strasznie zaniechaniu zdradzała brak wszelkiej ludzkiej pomocy, którą wyraźnie teraz nawet jak w ciągu całego życia, Lelewel ze stoicką dumą odrzucał.

— Jak się masz panie Joachimie! — zawołałi wchodzący goście, pokrywając bolesne wrażenie, jakie na nich widok chorego starca, w takim opuszczeniu robił.

— A, tak, niedobrze.... — odrzekł zaledwie patrząc na przybyłych. Nie mogę oto odkorkować butelki a pić się chce.... słaby jestem.

— A cóż ci to? spytał doktor, i chwytając go za puls. — To nic — dodał głośno, nachylając się do ucha chorego, który był już mocno ogłuchł, a Januszkiewiczowi szepnął: — przyjechaliśmy na pogrzeb, mój kochany, on ledwie parę godzin pożyje: puls słaby jak u konającego.

Przystąpiwszy do bliższej rewizyi, znalazł lekarz ciało na nogach opadające z braku starań, a łokcie, na których ciągle się opierał, odarte aż do kości; pościel całą przesiąkniętą krwią i materią, słowem stan najstraszniejszego zaniechania; jakie sobie wyobrazić można.

Patrząc na to wszystko, przyjaciele usiłują przysłonić obojętnością swoją boleść. P. Januszkiewicz od lat trzydziestu zostający w ciągłych stosunkach z Lelewel, znający nie tylko charakter, ale każde upodobanie, każdą słabość jego, zaczął najpierw o czasach uniwersytetu wileńskiego. Zaledwie potrącił o drogie choremu wspomnienie, ten jakby obudzony z omdlenia, odżył, ozdrowiał prawie. Doktor ująwszy go znowu za puls, rzekł do towarzysza pół głosem:—Cud się stał: siły wracają.

— Zjesz z nami obiad? spytał chorego.

— Niechce mi się jeść—odrzekł.

— No, to będziesz patrzył, jak jeść będziemy.

— Dobrze. A o której godzinie mam przyjść,

— Kiedy zechcesz.

— To o pół do szóstej.

— Przyjść po ciebie?—pytał lekarz.

— Nie, ja sam przyjdę.

— Do widzenia! I przyjaciele uradowani tą nagłą przemianą, poszli do domu przysposobić obiad dla Lelewela.

Mieszkali na drugiem piętrze. O pół do szóstej obiad był na stole, a oni przed bramą. Skoro Lelewel nadchodził jeden podbiegł, aby go wprowadzić na górę.—Nie trzeba! sam wleżę—odrzekł usuwając pomocne ramię.

I o kiju zwolna doszedł do jadalnej sali. Tam przyjacielska rozmowa i posiłny obiad wzbudziły na chwilę gasnące życie.

Działo się to d. 22 maja na sześć dni przed śmiercią. Lelewel jadł smacznie i wypił kilka kieliszków wina, rozmawiał, żartował jak za najlepszych czasów. Pół do dwunastej wybiło, a ów umierający starzec przed kilką godzinami siedział jeszcze z towarzyszami przy stole; ciało nawykłe ulegać duchowi rozbudziło się wstrząśnięte jego silną wolą i tą razą jeszcze.

Skoro doktor radził udać się na spoczynek, Lelewel wziął za kij i nieprzyjmując towarzysza drogi, sam jeden ruszył do domu. Dwóch znajomych pilnując go zdaleka szli za nim, uważali, że chód jego był taki jak zawsze.

Nazajutrz przyjaciele zaprosili go znowu na kawę, którą po dobrze przespanej nocy, jak utrzymywał, z najlepszym zapijał apetytem. Wieczorem znowu jadł obiad smacznie.

Tak przeszły dwa dni. Doktor Gałęzowski widząc że chory ma siły do drogi, a niemogąc długo bawić w Bruxeli, zaczął nalegać, żeby z nimi jechał. Wyruszyć historyka z kącika, gdzie od niepamiętnych czasów wśród książek i rękopisów swoich sie-

dział, namówić żeby jechał do nie lubionego Paryża, było to zadanie nie małe i w którego urzeczywistnienie jego znajomi nie wierzyli. To pewna, że tylko tak serdeczni przyjaciele jak pp. Januszkiewicz i Gałęzowski mogli tego dokonać. Długo jednak namawiali daremnie.

— Pozwólcie mi tutaj umrzeć!—powtarzał Lelewel.

— Nie chodzi oto, żeby umierać, ale żeby żyć,—odpowiadali przyjaciele—między nami znajdziesz pieczę i ratunek.

— Po cóż upierasz się zostać pomiędzy temi Belgami, o których mawiałeś, że nazwać kogo Belgiem, to znaczy obelżyć go,—rzekł jeden z nich żartobliwie.

Stary uśmiechnął się, potrząsł głową i nie odpowiedział. P. Januszkiewicz widząc go zachwianym, zagadnął o paszport.

—A był ci tu jakiś paszport, ale nie wiem, gdzie się podział.

— Pewnie zgubił,—wtrącił p. Januszkiewicz.—Zgubienie papieru zdawało się historykowi zbrodnią niesłychaną, która mu się nigdy w życiu nie przytrafiła.

— Otóż nie zgubiłem!—zawołał prawie oburzony, podając mu wydobyty z szufladki paszport, który drugi skwapliwie pochwycił i spiesznie udał się po nowy.

Czas nagle, obawiano się pogorszenia zdrowia tylko moralną siłą pokrzepionego. Ale jak przystąpić do zdecydowania Lelewela do wyjazdu: nalegać niecierpliwili się, trzeba było dopiąć celu zrecznością, podstępem.

Na trzeci dzień p. Januszkiewicz siedząc w izdebce historyka, patrzy po ścianach, gdzie stały książki i jakby była rzecz już rozstrzygnięta:

— Jakże my to będziemy pakować?

— Trzeba dział archeologiczny osobno, historyczny osobno—odpowiada Lelewel—manuskrypta ja sam poskładam razem: to się ułoży w Paryżu.

Zaledwie usłyszał te pożądane słowa, wybiegł p. Januszkiewicz i kazał przynieść przygotowane przed dom paki, czémprędzej książki z półek zbierał i wyrzucał przez okno ludziom, co je pakowali: tym sposobem w parę godzin cała biblioteka była upakowaną do przewiezienia. Lelewel podczas tej całej operacji siedział na łóżku i w milczeniu patrzył na wyrzucane oknem skarby swoje.

Skoro nie było książek i jego łatwo było wyprowadzić, nie opierał się wyjazdowi i postanowił pożegnać znajomych. Siadł do powozu z p. Gałęzowskim i udali się z wizytami pożegnalnymi

do rozmaitych dygnitarzy belgijskich: wkrótce w całej Brukselli wiadano, że Lelewel odjeżdża.

Młodzież polska i kilku uczonych cudzoziemców obecnych w Brukselli zaprosili historyka na obiad pożegnalny. Przyjaciele chcieli, żeby wystąpił na tę ucztę w staranniejszej, niż zwykle odzieży. P. Januszkiewicz zaczął przeglądać garderobę. Najprzód pokazuje frak załodwie w kupie się trzymający, Lelewel woła, że dobry, ledwie ma lat dwadzieścia kilka. To go zabierzemy? — A naturalnie! — Drugi zadość czyniąc życzeniu, kładł niby w kufel, a w istocie zostawił go pod łóżkiem. Los taki spotkał prawie całą garderobę. Zabrano tylko trochę bielizny, która była w lepszym stanie, niż suknie.

Trzeba będzie co do ubrania sprawić, rzekł p. Januszkiewicz, skończywszy przegląd ubiorów.

— A to na co? — krzyknął Lelewel. — Musisz mieć coś na drogę i w Paryżu do ubrania, — odrzekł drugi. — Jeżeli już chcesz koniecznie, to pod ś. Mikołajem stoi tandeciarz co ma wyborne suknie.

Sprowadzono tandeciarza. Pan Januszkiewicz wybrał co potrzeba.

— Ruina!! — zawołał Lelewel, spojrzawszy na rzeczy. — Ale cóż począć, kiedy trzeba! Są w biurku pieniądze: weź i zapłać.

Pan Januszkiewicz zajrzał do szufladki i naliczył w niej 1,300 franków. Poznał niezmienione banknoty, które był świeżo posłał historykowi na rachunek jego książek.

Skoro odszedł tandeciarz, chciano ubrać Lelewela; ale tego już żadną miarą dokonać nie było można.

— Co? mam się ubierać w nowe rzeczy na drogę? Dajże pokój! A cóż to za zbytek! Zawala się, zniszczy. Schowaj to, pojedę w starych. — I tak też zrobił, był na obiedzie i pojechał w starych, a nowych nie wdział ani razu.

Kiedy przyszła godzina wyjazdu, prosił żeby mu przyprowadzić żonę perukarza u którego mieszkał i jej córeczkę, która była jego córką chrzestną. Skoro przyszły, dał gospodyni cztery butelki Bordeaux i sześć funtów świec, które przez oszczędność hurtownie kupował. Nadto dodał 30 franków za popsuty materac; oddawszy to, kazał jeszcze wyjąć z zapakowanych rzeczy krucyfiks ofiarowany sobie przez jakiegoś księdza metodystę, a ucałowawszy dziewczynkę rzekł matce: „Oto krzyż, który jój daje na pamiątkę; powieś to nad jój łóżkiem, niech on jój strzeże, a ona niech się czasem za mnie pomodli.”

Domawiając słów tych, mocno wzruszony, pożegnał matkę i dziecię i jakby rozwiązał ostatni łączący go z tym kątkiem i z tą nędzą węzeł, ruszył z p. Januszkiewiczem na kolój żelazną, gdzie czekał Dr. Gałęzowski.

Tam w wagonie, którego jeden cały dział dla niego najęto, siedząc, przyjmował pożegnania rodaków, tudzież deputacye uniwersytetów: Brukselli, Gandawy, Lowanium, Liodium. W kilka minut potem pociąg ruszył ku Paryżowi.

Było to dnia 26 maja. Świece powietrze orzeźwiało chorego, mówił że jechać miło i wygodnie, a kiedy pociąg wsunął się w las strojny zielonością wiosny, popatrzywszy chwilę przez okno rzekł:—„Trzyście lat jak nie widziałem lasu.

Po sześciu godzinach podróży stanęli w Paryżu, gdzie na nich czekało w dworcu liczne grono rodaków i powóz generałowej Wąsowiczowej, którym pojechali na Foubourg St. Denis, do nowego municypalnego domu zdrowia Dubois, słynnego z wygodnego urządzenia i pieczy najlepszych lekarzy. Żeby nie czynić niemiłego wrażenia choremu, słowo *szpital* nie było wymówione. Powiedzano mu tylko, że to jest hotel, gdzie za pomierną cenę najwygodniej mieszkać można. Lelewel obaczywszy mahoniowe meble, dywany i dwa łóżka wspiane, począł krzyczeć na zbytek.—Wyrzucacie przez okno pieniądze! wołał stukając laską. Pan Januszkiewicz uspakajał jak mógł, zapewniając, że oni grosza na to nie dają z Gałęzowskim, ale płaci jego pieniędzmi, potem wyrachował, że za dochód z wydanych książek swoich, będzie mógł tu żyć przez lat dziesięć, nie potrzebując grosza od nikogo.

Improwizowany ten rachunek i pewnoś, że z cudzej kieszeni nie żyje, uspokoiły nieco Lelewela, a znalazłszy się w wygodnym łóżku, o dziewiątej wieczorem przyjaciele wychodząc, zostawili go smacznie śpiącego.

Nazajutrz, 27, stan zdrowia był tak dobry, że się zatrzymano z konsylium lekarskiem, sądząc, że się bez niego obejdzie. Doktor Gałęzowski polecił p. Januszkiewiczowi zapytać chorego, czy ma jakie rozporządzenia, które na wszelki przypadek lepiej zrobić, kiedy się czuje zdrowszym.

Chory przystał na to chętnie: zaczął od rodziny.

Synowcom swoim Tadeuszowi i Gustawowi kazał dać po zegarku; trzeciemu synowcowi Hugonowi przeznaczył pierścionek, który na palcu zawsze nosił.

Bratu Protowi kazał oddać futro po bracie Janie i jedną laskę swoją; siostrze Majewskiej pudełeczko szylkretowe, pamiątkę po jakiejś hiszpańskiej dygnitarce.



Siostrze Nosarzewskiej przeznaczył aksamitną poduszeczkę do śpilek. Drugą laskę, tę którą się zawsze podpierał, kazał oddać doktorowi Gałęzowskiemu, a tabakierkę z kory przysłaną mu przez jakiegoś księdza z Poznańskiego, ofiarował panu Januszkiewiczowi.—A cóż dasz wnukom swoim? zapytał tenże:—„Cóż mam dać? Same dziewczyny się rodzą.”

Co do manuskryptów swoich i książek, oświadczył wyraźnie Lelewel, iż pragnie ażeby takowe do Wilna zostały odwiezione i tam na użytek publiczny obrócone.

Wypowiedziawszy wolę swoją, bez najmniejszego wzruszenia, rozmawiał potem o rzeczach ogólnych. Przyszło wielu znajomych, gawędka przeciągnęła się do ósmej wieczorem. Przyjaciele poleciwszy raz jeszcze chorego infimerce, która go pilnowała, odeszli, nie przewidując, że go po raz ostatni żywym widzieli.

Skoro przyszli nazajutrz rano, dnia 29 maja, Lelewel już nie żył. O szóstej rano przebudził się i na zapytanie kobiety czy chce bulionu, odpowiedział coś po polsku, poczem odwrócił się do ściany, a kiedy kobieta przyniosła filiżankę rosółu o siódmej, przekonała się że nie żyje.

Ciało zabalsamowane, złożono tymczasowo w grobie Polaków na cmentarzu w Montmartre; później zamierzają pochować go w Montmercy. Opieczętowane paki złożono u doktora Gałęzowskiego, gdzie czekają rozporządzenia rodziny.”

Lelewel umarł licząc 76 lat. Pogrzeb tłumny układem moralnym wyższy od wszystkich jakie ziomkom naszym wyprawiono w Paryżu, odbył się 1 czerwca. Koszta jego wzięli na siebie po połowie pp. Gałęzowski i E. Januszkiewicz. Myśl jaka temu obrzędowi przewodniczyła, całe jego znaczenie moralne, Polacy zawdzięczają tym dwom przyjaciółom zmarłego.

Na grobie przemawiali: członek instytutu Ludwik Wołowski, po nim rabin żydowski *Astruc*, a w końcu wyrobnik francuzki Chabaud. Wiadomo, że dwie kwestye żywotne, przez całe życie zajmowały Lelewela: wyzwolenie włościan i wolność wyznań. Wszystkie te trzy mowy dołączone są w końcu téj broszury.

Ogrom prac Lelewela, dzieli się na dwa główne działy: badań historycznych, jeograficznych i numizmatycznych ogólnych, i wyłącznie polskich. Razem wzięte stanowią mogą do 40 tomów. Księgarz Żupański za upoważnieniem i przy pomocy brata zgłosiłgo historyka, Prota Lelewela, przygotowywał zupełne wydanie najprzód prac wyłącznie Polski dotyczących. Zbiór ten obejmować ma tomów XX; pierwszy stanowi: *Narody Słowiańskie*, dalej cze-



ry tomy: *Polska w średnich wiekach*, i siedem tomów wydanych: *Polska i jej rzeczy*, to stanowi już tomów XII, osiem tomów dalszych, złożą: historia polska, od pierwszych początków, aż do zgonu Stefana Batorego, księgi bibliograficzne, drobne rozprawy numizmatyczne, rozbiory dzieł treści dziejowej, lub dotyczących opisu Polski, Statuta Wiślickie i t. p.

Po ukończeniu téj publikacji, zamiarem jest wydać w przedruku prace poświęcone badaniom dziejów powszechnych, które ogłoszone dawno, już wyczerpane zostały z obiegu handlu księgarskiego. W ten dział ma wejść przekład numizmatycznych badań, które ogłosił ś. p. Lelewel w języku francuzkiem.

W.

*Słownik Polsko-Łaciński przez ks. Antoniego Bielikowicza, Dyrektora Gimnazjum w Krakowie. Zeszyt I i II, w Krakowie w drukarni C. K. Uniwersytetu Jagiellońskiego. 1863.*

Oddawna już czuliśmy pomiędzy książkami szkolnemi wielką potrzebę Słownika polsko-łacińskiego, a tém dotkliwiej teraz, kiedy plan nauk stanął nareszcie i począł się rozwijać na pożądanéj podstawie. Przystarzał się i niedostępny *Thesaurus Knapskiego*, wyczerpany od lat już wielu Słownik tak *Litwińskiego*, jak i *Trojańskiego*, wymagania téż nauki wzrosły. Nie brak, prawda, zabierającemu się do pracy wielkich pomocy, szczególnież w literaturze niemieckiej, ale przy nieustaloném dotąd słownictwie naszém, synonimice, a po części nawet i grammatyce saméj, niełatwe to, jeżeli dokładnie ma być wykonane dzieło. Bardzo więc w porę ks. Antoni Bielikowicz dyrektor gimnazjum w Krakowie, daje nam w większych rozmiarach *Słownik polsko-łaciński*, którego dwa pierwsze zeszyty (do wyrazu *gdy*) dotąd nas doszły, a różne pisma chlubną zaszczyciły i zasłużoną wzmianką. O ile z tych pierwszych zeszytów sądzić można, autor korzystając z najlepszych dzieł pomocniczych, szczególnież *Krafta* i *Georgesa*, prócz znaczeń samych, obsadza obficie wyrazy na powadze opartą frazeologią, uwzględnia po części konieczny tu element grammatyczny, dotykając miejscami synonimów. Czekamy z upragnieniem całości tak pożądanego dzieła.

J.